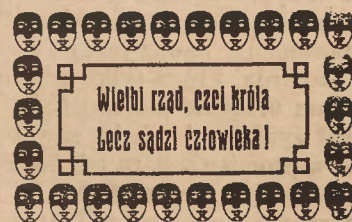


ŻABA



Bezpłatny dodatek humorystyczny, wychodzi co tydzień.

Rozrywka jest najlepszym lekarstwem na wszelkie dolegliwości.

Rajze i godki Gustlika Kocyndra.



Psiakróna! Straśnie prosięta cyckowe drogie! Kupiła se Dorka porę cycoków, wieprzka i świnkę, to dała aże sestrzydzieści marek! Słychane rzeczy, tela pieniędzy za prosiątka, coby ich do kosycka schował! Na, i jak tu przychowac na takich drogich prosiętach. Jakech zwazył te prosiątka, to wypadło kilo żywej wagi po seš marek! Ani z kanarków nie byłoby tak drogie mięso, jak z modych prosiat. Co sie to trzeba takich prosiątek cyckowych natulpacyc, napoddawać, zani sie co przychowo, a jakby sie nie nadały, to trzeba chować od świętego Wojciecha do świętego Michała i te same pieniądze będą dawać za nie na jarmaku, albo jesce trzeba im zawiązać do ogónów po kiel marek! Niema rady, niema, oj niema! żyć terazki na świecie. Scęście, ze jesce zydzi prosiętami nie handlują i świńskiego mięsa nie żerą, bo by jesce dwa razy tela podrozały. Obrazami, książkami katolickimi i insemi świętościami to juz zydzi handlują, jeno jesce z prosiętami niemogą sie przeprosić! ale juz mają na nie okrągłą slinkę i Bartek opowiadał jak był w Ostrawie na Śląsku, ze tam juz wszyscy zydzi kielbasę świńską jedzą! Na, ale tam juz są całkiem pańskie zydy, niemają juz tych śróbek kole usów i torzowych copek na siabes, jak galicyj-

skie husyty! U nos tez jes wiela takich nieprzyjemnych zydw, jak na tem Kazimierzu w Krakowie, a baby woła do nich iść na kupno, jak do katolickiego sklepu, choćby był najporządniejszy! Na, a to jes temu, ze katolik nie poradzi tak basować, cyganić gupie baby jak zyd, ani nie umie tak towarów zachwalać! Przyjdzie baba do sklepu, zyd zarozki: Dobry dzień Wojciechowo! Jak sie macie Wojciechowo! Zdrowicie, Wojciechowo! Wyście coroz modso, Wojciechowo! Co powiecie, Wojciechowo! Dawnoście u mnie nie byli Wojciechowo! Joł was bardzo sanuję, Wojciechowo! Dzieci zdrowe, Wojciechowe! Wojciech zdrowy, Wojciechowo! I tak dali Wojciechowuje gupiej babie, ze sie zakocha na dobre w zydzie i juz nikaj nie pudzie kupić, bo ją nikaj tela razy Wojciechowam — albo jak ij ta jest — nie przywitajo. Zyd łozłoczy przed Wojciechową towar, ona pyto sie: Po wielas to łokieć? — Po dwa grose Wojciechowo, jak lo was, Wojciechowo! Ale co wy padacie, Jabramie, po seš piętoków, inacej nie dom! — Jak Boga kocham! Sumiennie Wojciechowo ni mogę dać po seš piętoków, nie obstoję, bo i ja chce choć pół fenyga na dwa łokiecie zarobić. — Po dwa ceskie Jabramie! — Nimogę, sumiennie nimogę, Wojciechowo! I tak sie Wojciechowa targuje, zyd puszczo, ona poprawio, az starguje po trzydwadzieścia fenygów, zyd mierzy i mówi: Sumiennie, to jeno lo was tak puściłem ze stratą, rodzzonej matce swojej nie zrobiłbym tego Wojciechowo! — A cóz to za stof Jabramie? — pyto się Wojciechowa, pokazując palcem. — Aj! waj! jaki wy macie gust dobry, Wojciechowa, ten som gust macie co i wójtowo i gospodeni z fary, co te same materye wzieni na spodnice! — Doś fajny stof, pado Wojciechowa, ale dziś nie będę brać, bo... — Lo cego Wojciechowo niemocie dzisiok brać? jutro juz nie będzie, juz Kabocino i Lubokowo mają przys jutro po rešte i wom sie nie dostanie! Une chciały na borg, ale joł unem nie doł, bo to nie rzetelne baby, co innego wom, Wojciechowo to dam cały swój sklep na borg, jakbyście chcieli! Na i Wojciechowo bierze na borg, nie wiele targuacy i myśli se, idąc ze sklepu: Co za zyd dobry z tego Jabrama, lepsy jak dziesięć katolików! A zyd Jabram ocyganił ją na kilkanaście ceskich! Tak zydy potrefią gupie baby jurować! Do widzenia!

Gustlik Kocynder.



COŚ DO ZJEDZENIA...

Starzy ludzie opowiadają, jako w dawnych czasach żył w gródki Kasztelańskim w Myślenicach pewien szlachcic, nazwiskiem Warszucki, człowiek uśposobienia nadzwyczaj wesołego, krotochwilny i hałaburda, który tylko przemyślał nad tem, jakby komu urządzić jakiego figla. A szczególnej nie lubiał żydków i tak im zawsze umiał włożyć za skórę, że w promieniu paru mil od jego siedziby żaden z nich nigdzie się nie osiedlał, aby nie być narażonym na poznanie się z panem Warszuckim.

Mimo tego rozgłosu, jaki miał u synów Izraela, stało się jednakowoż, że jakiś żydowin osiadł w pewnej karczmie na granicy kasztelańskich włości i tu zaczął prowadzić interesa. Skoro o tym wypadku dowiedział się nasz szlachcic, już nie miał spokoju i tylko w głowę zachodził, jakby temu odważnemu pejsaczowi dać się we znaki.

Wreszcie powziął jakieś postanowienie i raz w towarzystwie paru hajduków konno zajechał przed ową karczmę, w której ów żydek rezydował.

— Co masz Mošku do jedzenia? — zapytał ostro, wpadając niespodziewanie do szynku i stając przed przestraszonym karczmarzem.

— Jest bryndza, masło, syr, jajki, szledze, chlib, siabas... kigiel... zaczął wyliczać Mosiek, składając się przed pankiem, jak scyzoryk.

— A pstrągi masz?

— Jaśnie panie! chwilowo zabrakło...

— Co?! zabrakło?! To ty żydzie śmiesz tutaj przy drodze rozsiadać się i wywieszać nad karczmą szumne godło „dom zajezdny“, a nie masz pstrągów?

— Nu! prosze jasnego pana, ziebym sze spodzewoł...

— Milez, oszuście! Ja cię tu nauczę, jak prowadzić interesa. Hej, pochołki! Są tu! Połóżcie tego gałgana na ławie i dajcie mu dziesięć kijów! Niech na drugi raz ma w domu zajezdnym to, co potrzeba dla gości.

Żydek zaczął jęczeć, błagać, przepraszać, ale nie pomogło; pochołki Warszuckiego wyłożyli go na ławę i odmierzili zapisaną porcyę kijów, aż się rozlegało.

Po tym doraźnym sądzie szlachcic odjechał w swoją stronę i tylko uśmiechał się pod wąsem z zadowolenia, że wpadł na taki dobry pomysł.

Może po jakim miesiącu znowu tak samo pan Warszucki nawiedził karczmę na granicy, a stało się to jak i za pierwszym razem tak niespodziewanie, że Mosiek się ukryć nie mógł i znowu go zostano za szynkwasem.

— Co masz żydzie do zjedzenia?

— Jest masło, syr, jajki, bryndza, a jest i pstrąg do usług jasnego pana — mówi karczmarz przyjemnie uśmiechnięty, nadrabiając miną i nie tracąc humoru, bo po ostatniej lekcyi, otrzymanej od Warszuckiego, już zawsze starał się mieć świeżą rybkę do podania dla gości, gdyby go odwiedzić zechcieli.

— Hm! pstrąg na noc mi jakoś nie służy. Wolę kawałek indyka pieczonego.

Żydek zbliżył się i zaczęła mu się trząść bródka.

— Indyka, powiedziałem, jeść będę!

— Indyka?! jasny panie, jo nie spodzewołem sze indyka...

— A ty bestyo zatracona! To ci tak moja nau-

ka pomogła? To ty sobie będziesz drwił z gości?! Ano, chłopcy! Spiszcie się chwacko i wysypcie temu drabowi dwadzieścia kijów na siedzenie; niech wie, z kim ma do czynienia.

Ani „święty Boże“ nie pomogło. Moška wyłożyli na ławę i drugą lekcyę — co ma mieć do sprzedazy w swoim zajezdzie — wypisali mu na skórze.

Zasromał się żydowin i odtąd starał się mieć wszystko to, czego w gospodzie zajezdni żądać mogą, a jeżeli nie wszystko, to przynajmniej coś takiego, co by jedno drugiem dało się zastąpić. I był potem może z jakiś miesiąc spokojny, ale po kilku tygodniach Warszucki znowu zjawił się w karczmie, jak huragan, ni stąd ni zowąd ze swoimi ludźmi i zażądał wedle zwyczaju objaśnienia, czy może dostać dla posilenia sił, bo strudzony błędzeniem po lasach za zwierzyną, chciał się czemś pokrzepić.

— Ao, prose jasnego pana, jest już wszystko, co ino jasny pan zapragnie. Są i ryby i szledzie i indykydyky i kurczętów i syr, masło, powideł, gularz, bryndza, jajki na miękie, jajki na twarde...

— A kielbasa jest?

— Aj waj! pocó kielbasa? Naco kielbasa? Taki trefny towar nom židkom nie wolno trzymać w swojego domu...

— A ty hultaju! Nie wolno ci trzymać? A dla kogóż ty tutaj zajazd otwarles? Tylko dla żydów? Kielbasy nie ma! Zgroza!! Takiego przekroczenia darować nie podobna! Ludzie! Wyłóżcie tego łotra, co rychlej i dajcie mu dwadzieścia pięć odlewanych!

— Oj, gwołt! jasny panie! Prosie mi przepuszczyc te kielbase, jo i tego towaru na drugi raz będę yakupicz!

— U mnie nie ma pardonu! Zasłużyłes — cierp!

Rozkazowi pańskiemu stało się i tym razem zadość, a pan Warszucki, odjeżdżając z karczmy, zacierał ręce z zadowoleniem, bo był pewny, że żydkowi już dobrze dał się we znaki i na drugi raz, gdy tu zawita, z pewnością go już nie zastanie.

Ale oczekiwanie to zawiodło go. Może po jakich 2—3 tygodniach nawiedził znowu gospodę i zastał w niej Moška coś za nadto spokojnego, a za szynkwasem tak wysprzątane i wymiecione, jakby niedawno jacy Tatarzy przeszli i wszystkie zapasy wyjedli i wypili.

— Co jest do zjedzenia? — zapytał Warszucki swoim zwyczajem, przybierając srogą minę.

— Niema nic, jasny panie.

— Co?

— Niema nic. Jest tylko moje... szedzenie na usługi jasnego pana.

To powiedziawszy, położył się sam na ławie i chałat wielkopańskim ruchem odrzucił na plecy, wy czekując zwykłej porcy kijów, jaką mu za każdym razem podczas odwiedzin pan Warszucki odmierzać polecał.

Możny gość z początku zaperzy się z oburzenia na tę niespodziankę, ale później, rzuciwszy okiem na komiczną postawę Moška, jaką przybrał na jego powitanie, roześmiał się szczerze na całe gardło, śmignął batem w powietrzu i zwrócił się ku drzwiom.

— Wziąles mnie, żydzie! Bywaj zdrów!

Odjechał za hajkukami i już nigdy więcej nie niepokoili dowcipnego żydka.